Wzruszenia i olśnienia

Osią fabuły Pawlikowski (współautorem scenariusza jest Janusz Głowacki) uczynił romans Wiktora (Tomasz Kot) i Zuli (Joanna Kulig) nierozerwalnie spleciony z muzyką i wielką historią – nowym ładem politycznym po drugiej wojnie światowej. Akcja toczy się od 1949 do 1964 roku. On jest pianistą, kompozytorem, muzykologiem badającym i dokumentującym twórczość artystów ludowych. Ona – uzdolnioną dziewczyną, której udaje się „załapać" do tworzonego przez władzę ludową zespołu pieśni i tańca „Mazurek". Ten miłosny związek jest mocno komplikowany przez rzeczywistość, w której przyszło żyć kochankom. Wiktor, nie mogąc realizować w komunistycznej Polsce muzycznych ambicji związanych z jazzem, przy najbliższej okazji ucieka na Zachód. Zula ma mu towarzyszyć, ale zostaje, by robić karierę z „Mazurkiem". Potem jeszcze kilkakrotnie spotykają się i rozstają, a tłem ich wspólnej drogi stają się Berlin, Jugosławia i Paryż – zawsze dzieli ich żelazna kurtyna: ta przecinająca Europę i kształtująca ich mentalność. Mają nawet szansę żyć razem, ale i to się nie udaje.

Główni bohaterowie „Zimnej wojny" uosabiają dwa różne światy, jak Wschód i Zachód. Oboje skłonni są do konformizmu, by móc realizować swoje marzenia. Wiktor – raczej intelektualista – jest w stanie urządzić się w muzycznym środowisku Paryża. Szybko przyswaja sobie reguły gry – rozumie, na czym polega autopromocja i „handel" talentami. Zula – lokalna gwiazda z awansu społecznego – jest spontaniczna i działa instynktownie. Nie potrafi odnaleźć się w rzeczywistości Zachodu. Pozycja, którą zdobyła w kraju, nie ma tu żadnego znaczenia. Ich miłość pada również ofiarą egoizmu – każde inaczej widzi swoją karierę, inaczej chce się realizować. Wreszcie sami do końca nie wiedzą, co jest nie tak, dlaczego nie czują się szczęśliwi. Wojna między nimi z pewnością jest gorąca.

Nie ma w tym jednak fatalizmu, dramaturgicznego napięcia, ostro zarysowanego tragicznego konfliktu – czegoś, co porwałoby widza, zaangażowało emocjonalnie. Sytuacji nie ratują znakomici aktorzy. Dają z siebie wszystko, czujemy chemię między nimi, ale wydaje mi się, że „nie mieli" czego grać. Brakowało scen, które podnosiłyby temperaturę. Pawlikowski historię uczucia skonstruował na ogół dość konwencjonalnymi środkami fabularnymi. Nie udało się zbudować niczego wystarczająco oryginalnego ani w relacjach między bohaterami, ani w planie ich zderzenia z brutalną i niesprzyjającą rzeczywistością. Polityczne akademie i rozwijany gigantyczny portret Stalina to klisza, która od dawna nie robi wrażenia. Takich „obrazków" jest więcej i składają się na nieco „pocztówkową" narrację. Pewnie dlatego mimo zimnej wojny, żelaznej kurtyny, opresji państwa, nie poczułem rozdzierającej tęsknoty bohaterów, nie trafił do mnie ich dramat.

Trafiła za to muzyka jako wyraz najbardziej podstawowych w życiu człowieka uczuć wyższych niezależnie od społecznego kontekstu. Świetną pracę wykonał tu Marcin Masecki, pianista i kompozytor jazzowy, który współtworzył ścieżkę dźwiękową. Przygotował jazzowe aranżacje dwóch utworów z repertuaru „Mazurka", ale również zagrał w nich na fortepianie i wraz z reżyserem i aktorami kreował atmosferę i dramaturgię filmu. Dużo miejsca zajmują pieśni ludowe w opracowaniu Tadeusza Sygietyńskiego, założyciela zespołu „Mazowsze" w latach 50. Dla mnie „Zimna wojna" to film muzyczny, bo muzyka jest tu trzecim głównym bohaterem. Spaja losy czwórki postaci, które są od niej – każda na swój sposób – uzależnione. Oprócz Wiktora i Zuli to także: Irena (Agata Kulesza), która jeździ z Wiktorem po wsiach, rejestrując grajków i śpiewaków ludowych, a potem prowadzi zespół, oraz Lech (Borys Szyc), kierownik administracyjny „Mazurka", aparatczyk, który podkochuje się w Zuli. Kulesza w tej drugoplanowej roli stworzyła aktorską perełkę. Potrafi wyłącznie spojrzeniem, wyrazem nieruchomej twarzy przekazać uwielbienie dla muzyki, autentycznej twórczości ludzi obdarzonych iskrą bożą. Oczy aktorki oddają głębię emocjonalnej

przemiany, gdy Irena uświadamia sobie, że jej ukochaną muzyką zawładnęła komunistyczna propaganda. Szkoda, że ta postać nagle znika z historii opowiadanej przez Pawlikowskiego.

Jak przystało na bohatera narracyjnej panoramy, muzyka w tym filmie przechodzi przemianę, podlegając presji zmieniającego się świata przedstawionego. Oddaje jednocześnie stan, w jakim znajdują się Zula i Wiktor – radość i smutek, miłość i rozczarowanie. Film otwierają „portrety" i dźwięki autentycznych muzykantów, które następnie ludzie z miasta przetwarzają na pieśni, będące już tylko stylizacją spod znaku Cepelii, a nie żywym folklorem. Wreszcie propaganda wykorzystuje tradycyjną twórczość, by sławić władzę ludową i wodza. Źródło ciekawych, świeżych motywów w tej muzyce spod strzech znajduje również jazz. „Dwa serduszka, cztery oczy" czy „Dolina, dolina" zabrzmiały w paryskim klubie w wykonaniu m.in. czarnoskórych muzyków. Aż w końcu Zula ląduje jako szansonistka śpiewająca rozrywkowe przeboje podczas festiwalowych spędów. Wiktor w obozie pracy (gdzie trafił za nielegalne opuszczenie kraju) doznaje kontuzji dłoni – nigdy już nie zagra. To klęska ich ambicji i poszukiwań. Kres kariery, życiowy dramat.

Dwa najlepsze dla mnie momenty filmu wiążą się z muzyką i niejako z niej wynikają. Myślę o scenie z początku opowieści, kiedy świeżo upieczona członkini „Mazurka" Zula szkoli się pod okiem pianisty. Dźwięki rutynowych ćwiczeń wokalnych stopniowo przechodzą w liryczny temat i nuta po nucie staje się muzyka, która jest sygnałem rodzącego się romansu. Drugi fragment to scena w klubie jazzowym: opuszczony Wiktor gra szaloną improwizację (w mistrzowskim wykonaniu Maseckiego). Niesie go tęsknota, zawiedziona miłość, ból. Wprowadza się w trans, stan muzycznego zapamiętania. To niesamowite przeżycie również dla widzów.

Ten film ze wszech miar wart jest obejrzenia, mimo że – jak wspomniałem – w moim wypadku nie stał się źródłem głębokich wzruszeń czy intelektualnego olśnienia. Pawlikowski znakomicie panuje nad środkami filmowymi i we właściwy sobie sposób ich używa. Uważa na przykład, że czarno-biały obraz jest najbardziej odpowiedni do tego, co chce przekazać. Tak skupia się na kreacji wizualnej, że w napisach przy jego nazwisku obok „scenariusz i reżyseria" dopisano „obraz" (za zdjęcia odpowiedzialny jest Łukasz Żal). Bliski kwadratu kadr stwarza specyficzne napięcie, które – przy różnych wariantach kompozycji – intryguje, daje przyjemność patrzenia, prowokuje emocjonalny stosunek do przedstawianej rzeczywistości. Może też stanowić stylizację na lata 50. XX wieku, czyli np. format Polskiej Kroniki Filmowej (oczywiście nie tak kadrowanej). Ta kopia, którą widziałem, nie imponowała głębią czerni czy rozpiętością tonalną, ale obraz i tak robił wrażenie. Pawlikowski nakręcił drugi po oscarowej „Idzie" polski i łódzki film, i odniósł sukces na festiwalu w Cannes. Mimo problemu, jaki mam z „Zimną wojną", czekam na kolejne dzieło tego wybitnego reżysera, czekam na wzruszenia i olśnienia…

Bogdan Sobieszek